Arthur Conan Doyle

TAJEMNICZA LOKATORKA

Przełożył: Jan Meysztowicz

Wydawnictwo
Czarna Zagadka



Działalność Sherlocka Holmesa obejmuje okres dwudziestu trzech lat, z czego przez siedemnaście pozwalał mi z sobą współpracować oraz zapisywać przebieg i wyniki jego wyczynów. Nic więc dziwnego, że zebrałem ogromną ilość materiału i mój problem polegał zawsze nie na jego zdobywaniu, lecz na dokonaniu wyboru. W moim posiadaniu znajduje się zajmujący całą półkę rząd grubych, oprawnych notatników, a do tego dochodzi pokaźna ilość wypełnionych dokumentami teczek stanowiących cenne źródło nie tylko dla kryminologa, ale i dla badacza skandalów w towarzyskich i urzędowych sferach późnej epoki wiktoriańskiej. Co do tych ostatnich chciałbym zapewnić piszących do mnie błagalne, listy, abym nie wspominał o niczym, co by mogło narazić na szwank honor ich rodziny lub reputację ich antenatów, że ich obawy są całkowicie pozbawione podstaw. Dyskrecja i wysoki poziom etyki zawodowej, jakie zawsze charakteryzowały mego przyjaciela, obowiązują nadal przy redagowaniu tych wspomnień i żadne poufne zwierzenia nie będą nadużyte. Sprzeciwiam się natomiast jak najbardziej stanowczo zabiegom, jakie nastąpiły ostatnio, a mającym na celu zagarnięcie i zniszczenie tych papierów. Źródło inspiracji tych usiłowań jest znane i jeśli się powtórzą, Sherlock Holmes upoważnił mnie do zapowiedzenia, że wszystko co dotyczy pewnego polityka, latarni morskiej i tresowanego kormorana, będzie podane do wiadomości publicznej. Jeden przynajmniej z czytelników niniejszego zrozumie, co mam na myśli.

Nie należy sądzić, że każda z tych spraw umożliwiła Holmesowi zademonstrowanie jego niezwykłych zdolności i talentu obserwacyjnego, jakie usiłowałem przedstawić w tych wspomnieniach. Czasami osiągał cel nie lada nakładem wysiłków, innym znów razem przychodziło mu to z łatwością. Nieraz się zdarzało, że najstraszliwsze tragedie ludzkie były przedmiotem tych właśnie spraw, które dawały Holmesowi najmniejsze pole do popisu i taką właśnie zamierzam teraz utrwalić na piśmie. Wprowadziłem drobne zmiany w nazwisku i miejscu zdarzenia, lecz wszystkie inne fakty są autentyczne.

Pewnego dnia przed południem, w 1896 roku, Holmes wezwał mnie do siebie za pomocą pośpiesznie napisanej kartki. Zastałem go otoczonego kłębami tytoniowego dymu, siedzącego w towarzystwie jakiejś matrony, tęgiej, dosyć leciwej, lecz wyglądającej na raczej przedsiębiorczą.

– To jest pani Merrilow z South Brixton – rzekł mój przyjaciel, wskazując ją ruchem dłoni. – Pani Merrilow nie ma nic przeciwko tytoniowi, możesz więc, mój drogi, ulec tej twojej obrzydliwej skłonności. Pani Merrilow ma coś ciekawego do opowiedzenia i w związku z tym twoja obecność może się okazać pożyteczna.

– Chętnie ci służę.

– Sama pani rozumie, że jeśli przyjdę odwiedzić panią Ronder, wolałbym z nią rozmawiać przy świadku.

– Niech pana Bóg błogosławi – odpowiedziała – jej tak zależy na rozmowie z panem, że mógłby pan przyprowadzić całą parafię.

– A zatem przyjdziemy dzisiaj wczesnym popołudniem. Przedtem jednak ustalmy należycie fakty, co dopomoże doktorowi Watsonowi w zrozumieniu sytuacji. Powiada pani, że pani Ronder jest od siedmiu lat panią lokatorką i że raz tylko widziała pani jej twarz.

– A wolałabym nawet ten jeden raz jej nie widzieć!

– Twarz ta jest, o ile dobrze zrozumiałem, strasznie pokaleczona.

– Panie Holmes, tego, powiadam panu, chyba w ogóle nie można nazwać twarzą. Nasz mleczarz widział ją raz, zaglądając przez górne okno, i zaraz opuścił bańkę, tak że mleko się wylało na cały ogród. Taka jest ta jej twarz. A kiedy ją sama zobaczyłam – natknęłam się na panią Ronder w chwili, kiedy się tego zupełnie nie spodziewała – zakryła ją szybko i powiedziała do mnie: „Pani Merrilow, teraz pani rozumie, dlaczego nigdy nie podnoszę woalki".

– Czy pani wie cokolwiek o jej życiu?

– Absolutnie nic.

– Czy wynajmując u pani pokój nie powołała się na kogokolwiek?

– Me, panie Holmes, ale zapłaciła gotówką i nie targowała się ani chwili. W dzisiejszych czasach uboga jak ja kobieta nie może sobie pozwolić na utracenie takiego dochodu.

– Czy mówiła, dlaczego wybrała pani dom?

– Mój dom stoi dosyć daleko od ulicy i jest bardziej odosobniony od innych. A poza tym ja wynajmuję tylko jeden pokój i nie mam własnej rodziny. Zdaje mi się, że próbowała mieszkać u innych, ale u mnie czuje się najlepiej. Zależy jej przede wszystkim na samotności i gotowa jest za to zapłacić.

– A więc pani powiada, że nikt nigdy nie widział jej twarzy, z wyjątkiem tej jednej przypadkowej okazji? To istotnie zastanawiające i nie dziwię się, że pani chciałaby wyjaśnić tę sprawę,

– Ależ ja wcale nie chcę nie wyjaśniać, panie Holmes. Mnie to nie przeszkadza tak długo, jak zgarniam czynsz. Trudno sobie wyobrazić spokojniejszą lokatorkę, nigdy z nią nie mam żadnych kłopotów,

– Cóż zatem spowodowało pani zjawienie się u mnie?

– Stan jej zdrowia, panie Holmes. Wygląda mi na to, że ona już długo nie pociągnie. A do tego coś ją okropnie gnębi na umyśle. Od czasu do czasu wykrzykuje „Morderca!". A raz słyszałam, jak krzyczała „Ty bestio! Ty potworze!". To było w nocy i słychać ją było W całym domu, aż mnie ciarki przeszły. Więc rano poszłam do niej i powiadam: „Pani Ronder, jeśli pani coś ciężko na duszy, od tego są księża, no i – mówią – w razie czego policja. Albo jedni, albo drudzy powinni pani przyjść z pomocą". Na– Boga! Tylko nie policja! – powiada – a księża nie potrafią zmienić tego, co było. A jednak – powiada – ulżyłoby mnie, gdybym przed śmiercią mogła komuś powiedzieć prawdę". „No cóż – powiadam na to – jeśli pani sobie policji nie życzy, jest taki detektyw, o którym czytałam… „ – za pańskim przeproszeniem, panie Holmes. A ona na to aż skoczyła i mówi:„ J. ego właśnie mi potrzeba, nie wiem doprawdy, dlaczego sama o tym dotychczas nie pomyślałam. Pani Merrilow – powiada – proszę go tutaj do mnie przyprowadzić, a jeśli nie zechce przyjść, proszę mu powiedzieć, że jestem żoną Rondera, tego z cyrku, pogromcy dzikich zwierząt. Powiedz mu to pani i powiedz jeszcze, że chodzi o to, co się stało w Abbas Parva". I tutaj na kartce napisała: Abbas Parva. „To – powiada – skłoni go do przyjścia, jeśli on jest takim człowiekiem, jakim myślę, że jest".

– Miała rację – odrzekł Holmes. – Bardzo pani dziękuję. A teraz chciałbym pogawędzić z doktorem Watsonem, co pewnie potrwa do obiadu. Proszę na nas oczekiwać u siebie w Brixton około godziny trzeciej.

Zaledwie pani Merrilow wyszła, a raczej wytoczyła się z pokoju, Holmes skoczył ku leżącemu w kącie pokoju wielkiemu stosowi notatników. Przez parę minut słyszałem tylko szelest przewracanych kartek, aż wreszcie pomruk zadowolenia oznajmił, że mój przyjaciel znalazł to, czego szukał. Tak był jednak podniecony, że nie powstał, ale usiadł na podłodze i skrzyżowawszy nogi, przybrał pozę posągu Buddy, po czym otoczony zewsząd grubymi tomami notatek, jeden z nich otworzył na kolanach.

– W swoim czasie ta sprawa nie dawała mi spokoju – rzekł – czego dowodzą te zapiski na marginesach. Przyznaję, że nie umiałem jej rozwikłać, ale byłem pewny, że sędzia śledczy się myli. Czy nie pamiętasz tragedii w Abbas Parva?

– Nie, nic mi ta nazwa nie mówi.

– A przecież mieszkaliśmy już razem. Co prawda moje wrażenia były powierzchowne, nie miałem żadnych elementów, na których mógłbym się oprzeć, a żadna ze stron nie chciała skorzystać z moich usług. Czy może chciałbyś przeczytać te papiery?

– Wolałbym, abyś je ustnie streścił.

– Nic łatwiejszego. Przypomnisz sobie tę sprawę, w miarę jak będę mówił. Otóż nazwisko Ronder było w swoim czasie powszechnie znane. Był on rywalem Wombwella, jak również Sangera, zaliczano go do największych organizatorów widowisk cyrkowych. Rozpił się jednak i zarówno on sam, jak jego przedsiębiorstwo zaczęli podupadać. Karawana jego wozów cyrkowych jadąca do Wimbledonu zatrzymała się na noc w Abbas Parva, zapadłej wiosce w Berkshire, i wtedy to właśnie nastąpiła owa ponura tragedia. Obozowali tam tylko, miejscowość jest bowiem tak mała, że nawet jedno przedstawienie by się im nie opłaciło. Wśród zwierząt występujących u Rondera znajdował się bardzo piękny, północnoafrykański lew, zwany królem Sahary. Ronder i jego

żona zwykli się popisywać w jego klatce. Widzisz tutaj fotografię tej części programu i możesz sobie zdać sprawę, że Ronder był opasłym, przypominającym wieprza mężczyzną, a jego żona kobietą niepospolitej urody. W czasie śledztwa wyszło na jaw, że lew uchodził nie bez powodów za niebezpiecznego, ale jak to zwykle bywa, przyzwyczajenie zrodziło z czasem obojętność i nikt nie przywiązywał do tego większej wagi.

Ronder i jego żona zwykli karmić lwa w nocy. Czasami jedno z nich, czasami oboje, lecz nikomu innemu nie pozwalali tego robić, uważali bowiem, że tak długo, jak będą jedynymi dostarczycielami żywności, lew będzie dla nich przyjaźnie usposobiony. Tej nocy, siedem lat temu, oboje poszli karmić lwa i nastąpił okropny wypadek, którego wszystkie aspekty nigdy nie dostały wyjaśnione.

Około północy cały obóz został zaalarmowany rykiem lwa i krzykiem kobiety. Posługacze oraz reszta cyrkowego personelu wybiegli ze swych namiotów z latarniami i w ich świetle ujrzeli przerażającą scenę. Ronder leżał w odległości około dziesięciu jardów od otwartej klatki że strzaskaną czaszką, na której widać było wyraźnie ślady lwich pazurów. Tuż przy klatce leżała na plecach pani Ronder, a obok niej przysiadł rozjuszony lew. Poszarpał jej twarz do tego stopnia, że nikt nie wierzył, aby mogła wylizać się z tych ran. Kilku cyrkowców, między innymi siłacz Leonardo i klown Griggs, zapędziło za pomocą drągów lwa z powrotem do klatki, którą natychmiast zamknięto. Jak się z niej wydostał, pozostało tajemnicą. Utrzymała, się na ogół wersja, że w tej samej chwili, w której Ronderowie otwierali drzwi klatki, lew skoczył ku nim, ciężarem swego ciała uchylił drzwi i wydostał się na zewnątrz. Śledztwo nie ujawniło żadnych interesujących szczegółów z wyjątkiem tego, że podczas gdy tę nieprzytomną z bólu kobietę niesiono do krytego wozu, w którym mieszkała z mężem, zawołała parokrotnie: „Tchórzu!". Dopiero po sześciu miesiącach powróciła do zdrowia na tyle, że mogła złożyć zeznania. Śledztwo zostało zamknięte wnioskiem, że śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

– Do jakiego innego wniosku mogło doprowadzić? – zapytałem.

– Może masz rację, a jednak parę szczegółów zwróciło uwagę młodego Edmundsa z miejscowej policji w Berkshire. Łebski chłopak! Wysłali go później do Indii. Od niego się dowiedziałem o tej sprawie, bo mnie odwiedził i gawędząc o tym wypaliliśmy parę fajek.

– Szczupły, żółtoblond mężczyzna?

– Właśnie! Byłem pewny, że sobie to i owo przypomnisz.

– A jakie miał wątpliwości?

– Mieliśmy je obaj. Diabelnie trudno było odtworzyć przebieg wypadków. Spójrz na to z punktu widzenia lwa. Uwolnił się z klatki. Cóż dalej robi? W paru susach posuwa się naprzód i zbliża do Rondera. Ten próbuje uciekać – pazury dosięgły go z tyłu głowy – ale lew zwala go na ziemię. A wtedy zamiast umykać, lew powraca do kobiety znajdującej się tuż koło klatki, rzuca się na nią i szarpie jej twarz. Co więcej, jej okrzyki wydają się wskazywać, że mąż jej tak czy inaczej nie przyszedł jej z pomocą. A cóż ten biedak mógł dla niej uczynić? Sam zdajesz sobie sprawę z tej sprzeczności.

– Oczywiście.

– Ale to nie wszystko. Teraz gdy o tym myślę, przypominam sobie, że śledztwo wykazało, iż w tej samej chwili, w której rozległ się ryk lwa i krzyk kobiety, słyszano przerażony głos męski.

– To był niewątpliwie głos Rondera.

– Skoro leżał ze strzaskaną czaszką, to chyba nie mógł wydobyć z siebie głosu. Co najmniej dwóch świadków stwierdziło, że krzyk mężczyzny zabrzmiał równocześnie z krzykiem kobiety.

– Wydaje mi się, że wszyscy w obozie wrzeszczeli jeden przez drugiego. A jeśli chodzi o tamte uwagi, to nasuwa mi się sposób ich wytłumaczenia.

– Słuchani cię chętnie.

– Ronder i jego żona znajdowali się razem w odległości około dziesięciu jardów od klatki, w chwili gdy lew z niej wyskoczył. Mężczyzna, odwrócił się i zaraz potem padł pod uderzeniem lwiej łapy. Kobieta wpadła na pomysł, aby wejść do klatki i zamknąć jej drzwi za sobą. To było dla niej jedyne dostępne schronienie. Pobiegła więc ku klatce i w chwili gdy znalazła się przy niej, zwierzę ją dopadło,



i rzuciło się na nią. Zła była na męża za to, że odwracając się rozdrażnił lwa. Gdyby oboje spokojnie stawili mu czoło, może lew nie ośmieliłby się rzucić na nich. Stąd jej okrzyk. „Ty tchórzu".

– Brawo! W tym rozumowaniu jest tylko jedna skaza.

– A mianowicie?

– Jeśli oboje znajdowali się w odległości dziesięciu jardów od klatki, w jaki sposób lew mógł się z niej wydostać?

– Może wypuścił go ktoś wrogo nastawiony do Ronderów?

– A dlaczego lew miałby się na nich rzucić, skoro znał ich dobrze, był do nich przyzwyczajony i brał udział w ich występach wewnątrz klatki?

– Ta sama wrogo do Ronderów usposobiona osoba mogła lwa podniecić.

– Na rzecz tej twojej teorii przemawia to, że Ronder miał istotnie wielu wrogów. Edmunds mi mówił, że on po pijanemu był strasznym człowiekiem. Prześladował i terroryzował całe swoje otoczenie. Okrzyki: „Ty potworze", o których wspominała pani Merrilow, są, jak przypuszczam, nocną reminiscencją po zmarłym mężusiu. Jednakże nasze rozważania nie na wiele się zdadzą tak długo, jak nie znamy wszystkich faktów. Na bufecie znajdziesz kuropatwę na zimno oraz butelkę francuskiego wina. Przystąpmy do odnowienia zapasu naszych sił, zanim będą nam potrzebne.

Dorożkarz zawiózł nas do domu pani Merrilow i zastaliśmy jej pulchną postać blokującą drzwi prowadzące do wnętrza jej skromnej i na uboczu położonej siedziby. Jej główną troską było niewątpliwie utrzymanie u siebie cennej lokatorki i zanim nas do niej zaprowadziła, prosiła, abyśmy nic nie powiedzieli ani nie uczynili, co mogłoby do takiej straty doprowadzić. Uspokoiwszy ją pod tym względem, weszliśmy na piętro stromymi, pokrytymi wytartym chodnikiem schodami i znaleźliśmy się w pokoju owej tajemniczej lokatorki. Było to ciasne, zatęchłe, źle wietrzone pomieszczenie, co nas nie zdziwiło, jako że mieszkająca tu osoba rzadko je opuszczała. Kobieta, która była właścicielką zwierząt w klatkach upodobniła się sama, jakby przez odwet losu, do zwierzęcia w klatce. Siedziała w kulawym fotelu w zacienio-

nym kącie pokoju. Długie lata bezczynności pogrubiły zarys jej talii, która niegdyś musiała być bardzo pociągająca i nadal zachowała ponętność. Gruba, czarna woalka zakrywała jej twarz, lecz była ucięta ponad ślicznie zarysowanymi ustami i powabnie zaokrąglonym podbródkiem. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że zaliczano ją onegdaj do bardzo pięknych kobiet. Nawet jej głoś był dźwięczny i miło zmodulowany.

– Moje nazwisko jest panu znane, panie Holmes, i spodziewałam się, że pana do mnie przywiedzie.

– Nie neguję, aczkolwiek nie wiem, dlaczego pani sądzi, że interesowałem się tą sprawą.

– Dowiedziałam się o tym po powrocie do zdrowia, podczas przesłuchiwania mnie przez pana Edmundsa z policji hrabstwa Barkshire. Zataiłam przed nim prawdę, a może byłoby lepiej, gdybym wówczas nie była skłamała.

– Prawda opłaca się na ogół, ale dlaczego pani wolała kłamać?

– Od tego zależał los innej osoby. Wiem, że to była bezwartościowa istota, ale nie chciałam mieć na sumieniu jej zguby. Osoba ta była mi niegdyś bardzo, bardzo bliska!

– Czy ta przeszkoda już nie istnieje?

– Tak, osoba którą mam na myśli, nie żyje.

– Dlaczego więc pani nie chce poinformować policji o wszystkim, co pani wie?

– Chodzi o inną osobę, a mianowicie o mnie. Chcę uniknąć skandalu i rozgłosu, jakie musi pociągnąć za sobą ingerencja policji. Niewiele mi już życia pozostało i pragnę umrzeć w spokoju. A jednak zależało mi na znalezieniu uczciwego i rozsądnego człowieka, któremu mogłabym opowiedzieć moją straszną tajemnicę, aby po mojej śmierci wszystko mogło być wyjaśnione.

– Wdzięczny jestem za tak wysokie o mnie mniemanie, lecz ja mam ze swej strony duże poczucie odpowiedzialności i nie gwarantuję, że po wysłuchaniu pani nie uznam za stosowne powiadomić policji.

– Nie sądzę, aby pan zechciał to uczynić. Zbyt dobrze znam pańskie metody i charakter. Lektura jest jedyną przyjemnością, jaką mi los pozostawił, i niewiele z tego, co się dzieje na świecie, uchodzi mojej uwagi.

Może pan z mojej tragedii zrobić dowolny użytek, chętnie przyjmuję to ryzyko. Wyznanie jej ulży memu sumieniu.

– Mój przyjaciel i ja chętnie panią wysłuchamy.

Kobieta powstała i wydobyła z szuflady fotografię mężczyzny. Rozpoznaliśmy w nim od razu zawodowego atletę. Był to mężczyzna o wspaniałej fizycznej budowie, sfotografowany w typowej dla siłacza pozie, z potężnymi rękami splecionymi na szerokich piersiach i z uśmiechem na ozdobionej wielkimi wąsami twarzy, uśmiechem zwycięzcy w wielu turniejach.

– To jest Leonardo – rzekła pani Ronder.

– Leonardo, ten siłacz, który był jednym ze świadków? – Ten sam, a oto jest fotografia mojego męża.

Ohydna to była twarz człowieka–wieprza, a raczej człowieka–dzika, przerażająca w swym bestialstwie. Łatwo można sobie było wyobrazić tę wstrętną gębę zaplutą i skrzywioną w spazmie wściekłości. Oczy zdawały się tryskać wrodzoną i na wszystkich dokoła skierowaną złośliwością. Szubrawiec, brutal, bestia – to wszystko było wypisane na tej twarzy i ogromnych szczękach.

– Te dwie fotografie pomogą panom w zrozumieniu tego, co opowiem. Byłam biedną cyrkówką, wychowaną na trocinach areny. Skakałam przez kółko, zanim ukończyłam lat dziesięć. Gdy dorosłam, ten mężczyzna zakochał się we mnie, o ile takie jak jego zwierzęce pożądanie można nazwać miłością, i w złą godzinę zostałam jego żoną. Od tego dnia znalazłam się w piekle, a on stał się dręczącym mnie szatanem. Wszyscy w naszej trupie wiedzieli, że on znęca się nade mną. Porzucał mnie dla innych kobiet, a gdy robiłam mu wyrzuty, wiązał mnie i chłostał biczem od tresowania koni. Wszyscy mi współczuli, wszyscy go nienawidzili, ale cóż mogli uczynić? Wszyscy się go po prostu bali, strasznym był bowiem człowiekiem na co dzień, a po pijanemu budziły się w nim wprost mordercze instynkty. Raz po raz miał do czynienia z policją za bójki lub za okrucieństwo dla zwierząt, ale pieniędzy mu nie brakowało, więc lekceważył sobie grzywny. Najlepsi nas opuścili i cyrk nasz zaczął stopniowo tracić popular-

ność. Jedyną atrakcją programu był Leonardo i ja oraz klown, mały Jimmy Griggs. Biedaczysko niezbyt wesołe miał życie, ale robił, co mógł:, aby jakoś zabawić publiczność!

Z czasem Leonardo zaczął odgrywać coraz większą rolę w mym życiu. Panowie widzieli sami, jakim był mężczyzną. Wiem teraz, jak ubogie duchem było jego wspaniałe ciało, ale w porównaniu z moim mężem był w moich oczach jak archanioł Gabriel. Litował się nade mną i pomagał mi, aż wreszcie nasza codzienna zażyłość przerodziła się w głębokie, namiętne uczucie, w miłość, o jakiej marzyłam, nie wierząc jednak, abym kiedykolwiek mogła jej zaznać. Mąż mój domyślał się prawdy, ale był zarówno brutalem, jak tchórzem, a Leonardo był jedynym człowiekiem, którego się obawiał. Mścił się za to po swojemu i coraz okrutniej znęcał się nade mną. Pewnej nocy moje krzyki ściągnęły Leonarda aż pod drzwi naszego wozu cyrkowego. Niewiele brakowało, a już tej nocy nastąpiłaby tragedia, i wkrótce mój kochanek i ja zdaliśmy sobie sprawę, że tego uniknąć się nie da. Mój mąż nie zasługiwał na życie. Umówiliśmy się z Leonardem, jak go zabić.

Leonardo miał bystry, wyrachowany umysł. On ułożył plan działania. Nie mówię tego, aby go oskarżać, gdyż byłam gotowa w pełni wziąć udział we wszystkim, co postanowi, ale nigdy nie potrafiłabym wpaść na taki pomysł. Sporządziliśmy, a raczej sporządził Leonardo, coś w rodzaju maczugi, a w jej ołowianej głowicy Leonardo wtopił pięć długich, stalowych gwoździ, rozmieszczonych bardzo dokładnie w ten sposób, że naśladowały pazury w lwiej łapie. Tym narzędziem mieliśmy zadać memu mężowi śmiertelny cios, tak jednak, aby wszystkie pozory wskazywały, że uczynił to lew, którego mieliśmy w tym celu wypuścić z klatki.

– Noc była bardzo ciemna, gdy mój mąż i ja poszliśmy jak zwykle karmić lwa. Nieśliśmy ze sobą mięso w kuble z cynkowanej blachy. Leonardo czekał za rogiem największego z naszych wozów, przed którym musieliśmy przejść w drodze do klatki. Przegapił jednak dogodny moment i przeszliśmy obok niego, zanim zdołał uderzyć, ale poszedł cichaczem za nami i usły-

szałam cios, który strzaskał czaszkę mego męża. Na ten dźwięk, serce drgnęło mi radośnie. Pobiegłam naprzód i odsunęłam rygiel zamykający klatkę lwa.

Wtedy stało się coś strasznego. Słyszał pan może o tym, jak szybko te zwierzęta zwietrzą ludzką krew i jak podniecająco to na nie działa. Jakiś dziwny instynkt w mgnieniu oka dał znać królowi Sahary, że zabito człowieka.

W chwili gdy otwierałam drzwi klatki, skoczył naprzód i rzucił się na mnie. Leonardo mógł mnie uratować. Gdyby trzymaną w ręku maczugą uderzył lwa, byłby go prawdopodobnie odpędził. Ale Leonardo stchórzył. Usłyszałam, jak krzyknął z przerażenia, i widziałam, jak się odwrócił i uciekł. W tej samej chwili kły lwa dosięgły mojej twarzy. Przedtem jeszcze jego gorący, smrodliwy oddech odurzył mnie do tego stopnia, że prawie nie odczułam bólu. Obu dłońmi usiłowałam odepchnąć od siebie krwawą, parą ziejącą paszczę i zaczęłam krzyczeć, wzywając ratunku. Doszedł jeszcze do mojej świadomości hałas i ruch w obozie i pamiętam mglisto, jak Leonardo, Griggs i inni wyciągali mnie spomiędzy łap lwa. Nie wiem, co potem nastąpiło przez sporo długich, udręką wypełnionych miesięcy. Gdy przyszłam do siebie i spojrzałam w lustro, przeklinałam lwa – jakże strasznie go przeklinałam – nie za to, że mi odebrał urodę, ale za to, że mnie pozostawił przy życiu. Jednego tylko pragnęłam i miałam dosyć pieniędzy, aby to osiągnąć. Chciałam zasłonić moją nieszczęsną twarz tak, aby nikt jej nigdy nie widział, i zamieszkać w takim miejscu, gdzie nikt, kto mnie znał, nie mógłby mnie odnaleźć. Nic innego nie pozostawało mi do zrobienia i tak właśnie postąpiłam. Biedne, ranne zwierzę zagrzebało się w swej norze, aby umrzeć – Eugenia Ronder takiego doczekała się końca.

Wysłuchawszy opowiadania tej nieszczęsnej kobiety siedzieliśmy czas jakiś w milczeniu. Wreszcie Holmes wyciągnął swą długą rękę i pogładził jej dłoń z tak oczywistą i serdeczną sympatią, jaką rzadko kiedy komukolwiek okazał.

– Biedna dziewczyna – rzekł – niełatwo jest zrozumieć wyroki losu. O ile tam nie czeka nas

jakieś zadośćuczynienie, ten świat jest zaiste okrutnym żartem. A co się stało z Leonardem?

– Nigdy go już więcej nie widziałam i nie słyszałam o nim. To, co pozostawił lew, mogło wzbudzić i utrzymać jego miłość w tej samej mierze, co któraś z tych wynaturzonych, potwornych kobiet, które obwoziliśmy w naszym cyrku po całym kraju. Ale nie tak łatwo ginie miłość kobiety. Leonardo pozostawił mnie na pastwę dzikiej bestii, porzucił mnie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz, nie mogłam się zdobyć na to, aby go posłać na szubienicę. Co do mnie, było mi wszystko jedno, Cóż może być okropniejszego od mego obecnego życia? Lecz stałam pomiędzy Leonardem a sprawiedliwością.

– Czy on już nie żyje?

– Utonął miesiąc temu, kąpiąc się w Margate. O jego śmierci dowiedziałam się z gazet.

– A co on zrobił z tą naśladującą pazury lwa maczugą? To jest najbardziej interesujący szczegół w pani opowiadaniu.

– Nie wiem. Niedaleko naszego obozu była głęboka, częściowo wypełniona wodą glinianka. Może tam na jej dnie…

– Teraz to już nie ma znaczenia. Sprawa jest bezprzedmiotowa i zamknięta.

– Tak – odpowiedziała kobieta – sprawa jest zamknięta.

Powstaliśmy, kierując się ku drzwiom, lecz coś w jej głosie zwróciło uwagę Holmesa, gdyż szybko odwrócił się ku niej.

– Własne życie nie do pani należy – rzekł. – Odebrać go sobie nie wolno.

– Moje życie nie może się przydać nikomu.

– Skąd ta pewność? Przykład cierpliwości i pokory w cierpieniu jest sam w sobie najcenniejszą z nauk dla tego niecierpliwego świata.

Kobieta odpowiedziała strasznym gestem. Podniosła woalkę i podeszła ku światłu.

– Wątpię, czy pan zdoła na mnie patrzeć.

Był to zaiste do głębi wstrząsający widok. Żadne słowa nie są w stanie opisać rysów twarzy, która właściwie nie istnieje. Dwoje żywych, pięknych, czarnych oczu patrzących spośród strzępów ciała potęgowało jeszcze grozę tego zjawiska. Holmes podniósł rękę ruchem wyrażającym litość i protest, po czym obaj wyszliśmy z pokoju.

Gdy po dwóch dniach zaszedłem do mego przyjaciela, wskazał mi, nie bez pewnej dumy, małą niebieską butelkę stojącą, na jego kominku. Wziąłem ją do ręki. Czerwona nalepka wskazywała na jej trującą zawartość. Otworzyłem butelkę i poczułem przyjemny migdałowy zapach.

– Kwas pruski? – zapytałem.

– Tak. Otrzymałem tę butelkę w dzisiejszej poczcie wraz z kartką, na której było napisane: „Posyłam panu moją pokusę. Pójdę za pańską radą". Domyślamy się obaj nazwiska tej dzielnej kobiety, która do mnie tę kartkę wysłała.